

„Jak pogodziłem się z moją chorobą”

To opowiadanie, którym się chcę z Wami podzielić jest o mnie, o moim życiu i o tym w jaki sposób straciło ono dla mnie sens.

Z godziny na godzinę po rozległym wylewie odeszła ode mnie najbardziej kochana przeze mnie osoba – moja MAMA. Nie było już dla niej ratunku.

Od tego czasu coś we mnie pękło – czułem, że nagle zostałem sam, bez środków do życia, bez jakiegokolwiek wsparcia i obrony.

Czuła to też moja siostra, ale ona mieszkała w następnej miejscowości, miała swoją rodzinę. Wiedziałem, że nie mogę wchodzić jej w „paradę” i opowiadać co dzień o swoich lękach i obawach.

Na początku przyjeżdżała do mnie codziennie, ale to przeszkadzało w jej pracy i relacjach małżeńskich. Mąż siostry nigdy nie należał do moich przyjaciół a ja tak bardzo ich potrzebowałem. Potrzebowałem takiej prawdziwej przyjaźni, gdzie ktoś powiedziałby mi, że jestem mu potrzebny i że muszę dla niego żyć.

Powoli docierały do mnie słowa martwiącej się o mnie siostry. To ona widząc lak lecę na czerwoną blachę pieca powstrzymała mój upadek (mam epilepsję) i wezwała pogotowie, to ona innym razem gasiła pożar, bo wypadła mi rura prowadząca do komina. To ona kupowała mi najpotrzebniejsze rzeczy, sprzątała mieszkanie i zaczęła stanowczo namawiać na leczenie.

Zaufałam jej jak Bogu i trafiałem raz tu raz tam aż w końcu kolejna diagnoza lekarzy „schizofrenia paranoidalna” jak coś kosmicznego nie z tej planety dotarła do wnętrza mojej głowy i serca. Trudno było mi zrozumieć co to takiego i w jakim koszmarze „siedzę”. Dostałem też rentę chorobową – małe światełko w tunelu, które jak nadzieja rozświetlać zaczęło moje życie.

Bardzo chciałem się uzależnić finansowo nawet od najbliższej mi osoby – siostry, bo wiedziałem, że na dłuższą metę nie mogę tak żyć po części jak pasożyt, a i ona poczułaby ciężar mojego istnienia.

Wtedy wydawało mi się, że i tak dla całego świata nie istnieję. Ludzie widząc mnie udawali, że nie widzą przechodzili obojętnie.

Ale byli i tacy, którzy śmiali się w głos i mówili nazywając mnie odpowiednio „głupi”, „wariat” lub „debil” - to bolało, ale nie można przecież walczyć z wiatrakami, bo one mają swój silny pęd i nawiew, który takich jak ja wywiewa i unicestwia.

Ci mocni, wyrafinowani ludzie to maszyny bez uczuć i serc, boją się, ich i wolę swój świat cichy i zamknięty, gdzie czasem gra muzyka i zagrała mi ona dość głośno i przyjemnie,

gdy dowiedziałem się o spotkaniach dla osób niepełnosprawnych w Wójcinie. Tam znalazłem prawdziwych przyjaciół. Tam podał mi swoją dłoń Pan Darek Soborczyk bardzo mi zaufał i uwierzył. Wyeksponował moje pasje – pisanie wierszy, rozwiązywanie krzyżówek, grę w tenisa stołowego czy grę w warcaby. Ten świat ludzi niepełnosprawnych zaczął mi się podobać. Nikt tu nikogo nie wyśmiewał, nikt nie starał się na siłę zaistnieć, wszyscy starali się okazywać sobie nawzajem szacunek i uśmiech. Lepiej zaczęło mi się żyć, pokochałem wszystkich tych ludzi, trudno mi przechodzić obok nich obojętnie, wyzwalają oni na mojej twarzy szczyry uśmiech i szybsze bicie serca.

Dziś nadal przebywam, ale już w innej placówce Środowiskowym Domu Samopomocy w Chróscinie, gdzie nadal jest mi jak we własnym domu z tym że o wiele przyjemniej, bo jestem w grupie gwarnej, wesołej, przyjaznej, gdzie personel wymyśla różne ciekawe zabawy, zajęcia, wyjazdy, dni integracyjne z innymi Ośrodkami Pomocy Społecznej i stara się dla nas robić wszystko byśmy zapomnieli o okrutnym świecie tych którzy nas nie tolerują i uważają za mniej wartościowych.

Chciałbym tylko kończąc to opowiadanie powiedzieć, że my mamy swoje serca i uczucia i w myśl Mickiewiczowskiego przesłania apelujemy, żeby wszyscy ludzie mieli serca podobne do naszych i patrzyli w nie dostrzegając miłość i zrozumienie.

„Miej serce i patrzaj w serce”

Eugeniusz Armanowski